Nr. 6. We Lwowie dnia 5. Lutego 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

List Imć Pana Jana Rudominy (*)

z 1621 roku.

Hej Mości panie! Już miesiąc to trzeci,
Jak z pod Chocima wróciłem się doma;
A chociaż nie mam ni żony, ni dzieci,
Łzę z wąsa starłem, co męża nie sroma.
A teraz oto upraszam Waszeci
(Iż sztuka twoja jest ludziom wiadoma),
Abyś mi cudnie wyrzezał w marmurze
Pamiętne rzeczy bitwy tej, i duże!

Z brył co najbielszych dobieraj kamienia,
Który z dna szybu świeci się i błyska,
Żeby do niego późne pokolenia
Ogrzewać serca szły, jak do ogniska.
Bo czas jest różny i różnie odmienia
Losy narodów przez swoje igrzyska;
Więc niechby wnuki, patrząc na te sprawy,
Dziedzice sławy — czuli się do sławy!

Jako Chocimski majdan udeptany,
Tak gładkiem wydaj Waszmość dno tej płyty,
Zaś za ornament niech ma buzdygany,
Proporców drzewce i buńczuków kity.
Turban niech leży ze łbem odrąbany,
Niech sterczą z boków kopje i dziryty,
A koń zdobyczny, rozpuściwszy grzywy,
Niech za Dniestr rwie się, rżąc, jakby był żywy.

Tak już z pierwszego na kamień wejrzenia
Ma się uczynić widnym ten duch męski,
Który starł w polu onem, do imienia,
Nieszczęsny termin, dzień Cecorskiej klęski
I ten animusz, co pierś rozpłomienia
Słońcem, pod którem laur kwitnie zwycięzki.
Iżby to była — jak księga otwarta,
Jak bohaterska, dech żywiąca karta!

Marmur bierz Waszmość na pomiar rycerza,
Gdy błyśnie szablą wzniesioną nad głowę
I jako piorun w pohańca uderza,
Wołając: »Rany Pana Chrystusowe!«
(Przydasz-li? — skąpić nie będę halerza,
Bowiem chcę godnie uczcić rzeczy owe).
A zaś szeroki tak, by mieścił w sobie
Mężów dziewięciu przy mojej osobie.

Taki jest bowiem poczet tych rycerzy
Wpisany w sławy regestr narodowy.
Zbrojno ich postaw. Niechaj od pancerzy
Blask bije nagły i błyskawicowy.
Niech na ryngrafach orzeł pióra śnieży,
A wszystkich uczyń z uciętemi głowy,
Wszyscy je oni zostawili bowiem
W Chocimskiem polu, wraz z życiem i zdrowiem.

Bo kiedym się tam z bisurmany złożył,
Śmierć była na mnie już, i zła godzina,
Lecz Bóg mi rękę na sercu położył,
Iż, miawszy w piersi dwie strzał tatarzyna,
Z boiskam porwał się i znowu ożył.
Więc z damascenką, co się jak wąż zgina,
Wpadłem na wroga i nim krwią ją zbroczył..
Zapóźno! Turczyn głowy już utroczył!

*) Jan Rudomina, porucznik husarski, potem kasztelan Nowogrodzki, wróciwszy z pod Chocimia, pamiątkową tablicę, w płaskorzeźbie przedstawiającą jego towarzyszy poległych, u fary w Nowogródku funduje.

Byli to moi Sodalisi wierni,
Razem my poszli, nie razem wrócili...
Ja żyw, a oni ubici w tej czerni,
Gdy za tatarstwem, jak wichr się rzucili,
Padli, i leżą — hussarze pancerni —
Pod swą chorągwią, od Dniestru w pół mili,
W płytkim, szablami wykopanym rowie,
Miłej Ojczyźnie oddawszy swe zdrowie.

Piękna to śmierć jest, i zacniejsza zgoła
Nad ową, która wszystkim pospolita!
Na takich grobach słodko wonią zioła,
A gałąź suchą wsadź, i ta zakwita.
W miesięczne noce widać tam Anioła,
Jak zmartwychwstania jasną księgę czyta,
I jak na mieczu ogromnym oparty,
W srebrnej światłości odprawuje warty.

A o to Waszmość nie bądź frasobliwy,
Iż bez głów czynić będziesz owe męże.
W wielkim dniu sądnym każdy stanie żywy,
Każdy swej głowy z nad Bosforu sięże!
Waszmość mi tylko te wyrzezaj dziwy,
Iżby duch ony, co mu nic oręże,
Pierś wydawała na czasy potomne,
Duch, co jest wszystkiem, i serce niezłomne.

Bowiem się w czynach ostają żywota
Krzepiące siły, nieugasłe moce...
A kiedy burza korabiem pomiota,
Kiedy nawalność maszty mu druzgoce,
Wybłyska nagle, jako gwiazda złota,
Nad czarne chmury, nad rozpaczy noce,
Tak i ta gwiazda żywota i wiary,
Niech się pamiątką zostanie u Fary.

M. Konopnicka.

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Miasto Irkuck.

Rozpoczynam od grodu stołecznego Syberji wschodniej, mianowicie od opisu miasta Irkucka, które wtedy, gdyśmy tam przybyli, uchodziło za centr inteligencji, za ognisko handlu i przemysłu w oczach patrjotów syberyjskich, rokujących mu przytem przyszłość świetną i wspaniałą.

Miasto Irkuck założone zostało w roku 1646-tym przez „starszynę“ kozackiego, Jana Pachabowa, liczy już więc dzisiaj 253 lata swego istnienia, którego ani pięknem, ani sławnem nazwać nie można, oddało ono wszakże ważne usługi rządowi, służąc za punkt oparcia podczas całego, długiego procesu zawojowania, ujarzmienia i tępienia plemion wojowniczych burjackich.

Przed innemi miastami głównemi Syberji Irkuck odznaczał się pod tę porę obecnością znacznej ilości typów mongolskich wśród ludności miejscowej, co mu też nadawało wyraz bardziej azjatycki. Zresztą w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych było to miasto dosyć liche i brudne, o wyglądzie nudnym, pospo'itym, nie miało żadnych bruków, domy były przeważnie drewniane, głównie z cedrów bajkalskich budowane, niskie, zazwyczaj parterowe, rzadziej piętrowe. Z wyjątkiem gmachów rządowych, mieszkańcy nie wznosili murów, a to z obawy przed ponawiającem się od czasu do czasu trzęsieniem ziemi. Pomiędzy domami ciągnęły długie parkany z desek, które zasłaniały od ulicy place puste, zajęte najczęściej pod ogrody warzywne. Drzew w mieście nie było prawie żadnych, bulwarów, miejsc spacerowych nie znano i najpiękniejsze partje, jak n. p. wybrzeża majestatycznej Angary, były zarzucone śmieciem, wywożonem z miasta. Szczupły ogród, zwany „Gubernatorskim“, był jedyną ozdobą drzewną Irkucka. Trotuary budowano z desek, które wykonywały najczęściej ruchy klawiszowe pod stopami przechodniów. Wzdłuż chodników biegły tu i ówdzie rowy, imitujące wprawdzie rynsztoki mejskie, tylko, że nie miały żadnego ścieku ku rzece, stąd też woda, przepełniająca je na wiosnę i w jesieni, a także latem po każdym deszczu, stała tak długo, aż odparowała powoli pod działaniem promieni słonecznych. W dnie jasne, pogodne, letnie, przejazd każdej dorożki wywoływał tumany pyłu, a każdy powiew silniejszy wiatru podnosił kurzawę niezwykłą.

Jeżeli za dnia miasto miało wygląd niepozorny, to wieczorami, a szczególniej w ciemne noce bezksiężycowe robiło wrażenie bardzo smutne, oświetlenie bowiem było tak skąpe, że w cieniach ulic dokonywano kradzieży i roz-

bojów niemniej bezpiecznie i bezkarnie, jak w polu za miastem. Co do złoczyńców, to była ich w mieście i okolicy moc wielka, gdyż Irkuck leży na trakcie, po którym wędrują kajdaniarze, zbiegli z kopalń Nerczyńskich i Karyjskich, nadto miał on także pod bokiem zakłady karne, n. p. Ussolski, i do niego nareszcie, na leże zimowe, gromadziły się tłumy robotników z kopalń północnych, Witimskich i Olekminskich.

Miasto liczyło podówczas 30.000 mieszkańców i trzysta kilkadziesiąt zakładów, gdzie przedawano napoje gorące, miało kilka bazarów dosyć schludnych, ogromną ilość kramów, a jeszcze większą straganów, przy których kupczono pod gołem niebem. Cerkwie, stosunkowo liczne, wznosiły się nad niskiem miastem, lecz ani pięknością architektury, ani harmonją



Widok miasta Irkucka od strony wjazdu z Europy. Tak wyglądało to miasto przed pożarem 1879 r.

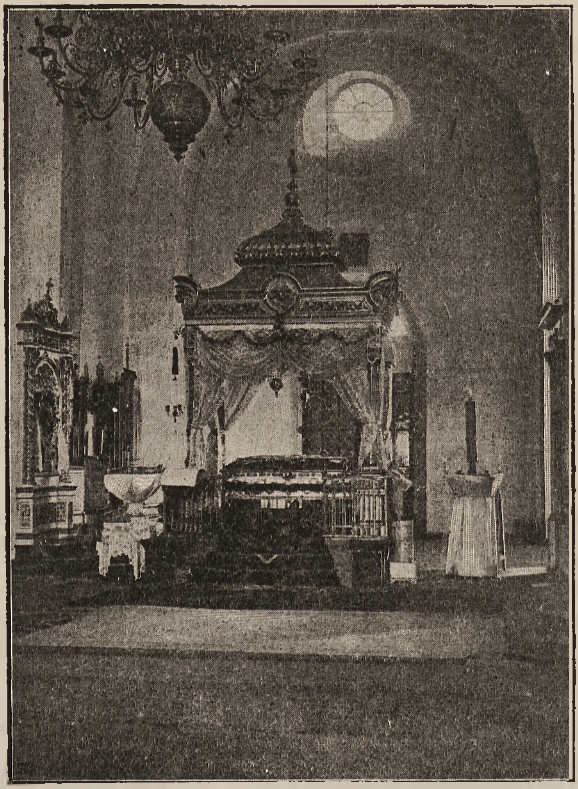
kolorów, zdobiących je na zewnątrz, nie celowały wcale, tak n. p. cerkiew, malowana na czerwono („Krasnaja cerkow") z zielonemi okiennicami i kopułami zdobiła najparadniejszą ulicę, zwaną wielką („Balszaja ulica"), przy tejże ulicy mieściły się przedniejsze magazyny, które jednak nie odznaczały ani doborem towarów, ani ich taniością. Oprócz cerkwi prawosławnych, miał w mieście kościołek katolicki z pięknie rzeźbionym ołtarzem, którego zdjęcie fotograficzne reprodukował w swoim czasie „Tygodnik Ilustrowany". Rzeźbę ołtarza wykonał ziomek nasz, sławny w kronice Irkucka stolarz Eichler*) pod kierownictwem budowniczego Kulikowskiego. Następnie był jeszcze kościół ewangelicki, synagoga izraelicka w domu prywatnym urządzona, a nie opodal od Irkucka dwa monastery, jeden z nich żeński, drugi męski, ten ostatni sławi się na całą Syberję wschodnią, gdyż w jego cerkwi przechowują zwłoki świętego Inocentego Kulczyckiego, patrona Irkucka. Wedle miejscowego podania, święty rzeczony, ma być synem parocha z djecezji kijowskiej, lecz rodowód jego historyczny sięga znacznie dalej. Są dotąd w gubernji Czernihowskiej Kulczyccy, nobilitowani około 999 roku, i używający przydomka „kot". Z jednej gałęzi tej rodziny, która jeszcze za czasów Rzeczypospolitej dostała się pod panowanie rosyjskie, ma pochodzić wychowaniec akademji kijowskiej, święty Inocenty, który ukazem synodu z dnia pierwszego grudnia 1804 r. zaliczony został do rzędu świętych kościoła prawosławnego, przyczem nakazano obchodzić uroczystość św. Inocentego Irkuckiego dnia 26. listopada starego stylu. Na tę uroczystość ciągną zwykle ze stron dalekich, od Onona i Ingody n. p., pielgrzymi pobożni, wiozący bogate dary dla monasteru. Za naszych czasów nie było w mieście żadnych świątyń dla ludności tubylczej, gdyż oficjalnie zaliczano ją wtedy do kategorji „nawróconych na prawosławie".

Irkuck posiadał w latach, o których tu mowa, gimnazjum klasyczne, szkołę techniczną niższą, instytut dla panien, „szlachetnie urodzonych", czyli dla córek urzędników, gimnazjum żeńskie, instytut dla cór osób stanu duchownego, szkołę junkrów, szkołę niższą woj-

*) Fotografję jego i krótkie wiadomości biograficzne załączę poniżej.

skową, seminarjum prawosławne, a nadto kilka zakładów naukowych niższych, dom sierót etc.

Instytucje Irkucka, mające na celu szerzenie oświaty wśród osób dojrzałych, były następujące: Bibljoteka publiczna, miejska, Towarzystwo lekarzy i sławne podówczas na całą Syberję towarzystwo naukowe, noszące miano „Oddziału wschodnio-syberyjskiego towarzystwa geograficznego“. Do składu towarzystwa rzeczonego należeli wszyscy uczeni, bawiący we wschodniej Syberji, a także i ci, którzy pragnęli przyłożyć się do postępu wiedzy geograficznej i przyrodniczej w tym kraju. Opiekunem towarzystwa był każdorazowy generał-gubernator wschodniej Syberji, zaś prezesem jeden z wybitniejszych urzędników państwowych wojskowych. We własnym lokalu Towarzystwa geograficznego miały miejsce odczyty publiczne i sprawozdania z czynności jego. Tu po raz pierwszy, w cyklu swych olbrzymich podróży, wygłosił natenczas pułkownik Mikołaj Przewalski, rodem z dawniejszego województwa Smoleńskiego, sprawozdanie o poszukiwaniach dokonanych z własnej inicjatywy na Amurze i Ussuri; tutaj mieściły się zbiory cenne mianowicie gabin. mineralogiczny, geologiczny, botaniczny, zoologiczny i etnograficzny, wraz ze szczupłą bibljoteką, złożoną z dzieł naukowych. Zbiory rzeczone były uporządkowane staraniem ziomków naszych: Aleks. Czekanowskiego, którego ojciec pochodził z Galicji*), Jana Czerskiego, a po części Dra Ignacego Łagowskiego i Konstantego Żebrowskiego. Kustoszem gabinetu był przez czas dłuższy Jan Czerski**), ale na nieszczęście dla nauki wszystkie te zbiory, o których była mowa, spłonęły podczas pożaru 1879 r. i w ten sposób zniszczone zostały prace mozolne całego szeregu badaczy. Po stracie tam zielnika Turczaninowa, w którym były deponowane typy roślinne, służące do opisu gatunków flory wschodnio-syberyjskiej, szczególnego nabiera znaczenia zielnik Dra J.



Wnętrze kaplicy z grobem św. Jnocentego Kulczyckiego.

*) Ojciec A. Czekanowskiego rodem z Galicji był pedagogiem, gorącym patrjotą austrjackim i wielbicielem kultury niemieckiej, miał pensjonat w Krzemieńcu. W tym pensjonacie



Widok gmachu Towarzystwa geograficznego w Irkucku.
Gmach ten został wzniesiony po pożarze.

Łagowskiego według typów Turczaninowa determinowany, a który znajduje się obecnie w gabinecie botanicznym Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie także umieszczono portret tego zasłużonego kollektora i znawcy flory Wschodniej Syberji. Zarząd towarzystwa geograficznego brał na siebie nieraz ciężkie zadanie wyjednywania u rządu środków pieniężnych na cele naukowe, tak n. p. staraniem towarzystwa, a szczególniej staraniem prezesów jego, uskutecznione zostały ekspedycje geologiczne Aleksandra Czekanowskiego, Jana Czerskiego i pod ich opieką dokonane były badania nasze nad głębokością i fauną Bajkału. Prezesami towarzystwa za czasów naszej bytności w okolicach Irkucka byli ludzie, dbający o postęp wiedzy, tak n. p. generał Kukiel, rodem z Mińskiego, generał Soffianos. Obaj oni odznaczali się życzliwością dla wygnańców, ułatwiali im pobyt w mieście i oddawanie się pracom naukowym.

(D. c. n.)

---

wychowywał się X. Stefan Lubomirski. Matka Aleksandra była polką, ale nazwa jej rodziny jest francuskiego pochodzenia, zmarła ona wcześnie, pozostawiając syna dzieckiem małem, w wychowaniu więc jego nie mogła brać żadnego udziału, jak to mylnie utrzymuje akademik F. Schmidt, w życiorysie Aleksandra Czekanowskiego, przeciwnie, wychowaniem syna zajął się ojciec i jemu zawdzięczał Aleksander gruntowną znajomość języka niemieckiego.

**) Życiorys Jana Czerskiego podany będzie osobno.

6)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

Łętowski.

Kiep ten, co po pazdur
na dach się drapie, kiej się w izbie pali
cały dobytek! Weźże moją laskę,
owiń choiną i powiedz: gazdowie,
sołtys Łętowski, co wam marszałkował,
kiej żywieckiego biliście starostę,
i tej chudoby waszej śmiało bronił,
obwieszcza wokół, jako dokumenty
przyszły od króla, że już czas na lachy
za nasze owce i za nasze krowy,
za nasze ryby, za nasze jelenie,
za nasze lasy, za nasze pastwiska...

Radocki

(przerywając).

Nie! — tak im powiedz: ze wszystkich stron
chodźcie gromadą na wieczerzę Boga [świata
jeść ciała królów i ciała mocarzy
i niewolników i wolnych i wszystkich,
wielkich i małych ... Zwycięstwo nadchodzi,
więc kto ma uszy, ten, powiedz, niech słucha!
A kto zwycięży, ten w kościele pańskim
będzie filarem i Pan imię swoje
wyryje na nim... Nowe Jeruzalem
zbliża się, powiedz, śpiewaj: Aleluja —
tak każe, powiedz, Alfa i Omega.

Czepiec.

Idę, bo idę...

(Do Łętowskiego).

Ale to wam mówię,
panie marszałku...

(Wychodzi).

Łętowski

(do gazdów).

Pogwarzcie tu krztynę...
Zaraz powrócę. Zajrzę do obory —
obejdę statek, bo jużci na baby
któżby się spuszczał...

(Zabiera się do wyjścia).

Radocki.

Nie myślcie o statku
w chwili, gdy Pan Bóg czyni nas sługami
swego zakonu.

Łętowski.

A kto stworzył statek,
jak nie sam Pan Bóg? Temu, co jest z Boga,
mówicie, służyć potrzeba... Ja służę,
dbam o stworzenie boże.

(Wychodzi).

Jeden z gazdów

(do rektora).

Wiemy wszyscy,
jako wasz szwagier, co jest organistą
w samym Krakowie, blisko jest biskupa.
I wy, też, panie Radocki, o mało
nie zostaliście księdzem: taka wielka
we was uczoność... Znacie się na piśmie
lepiej od księdza Miętusa — to prawda —
albo od księdza Bytomskiego — prawda!
lecz nam nie wiada, co niby oznacza
ta wasza mowa — to są ino słuchy,
że pan Napierski...

Radocki.

Alfa i Omega —
tak stoi w Piśmie: Pierwszy i Ostatni,
ten, który umarł i ożył i teraz
na wielki bój nas powiedzie... I będą
gwiazdy padały, jak drzewa figowe —
i aniołowie, stojący na czterech
węgłach tej ziemi, trzymający w ręku
cztery jej wiatry, powioną nad nami
i szum się stanie ogromny i wszystko,
co dotąd rosło i żyło na ziemi,
zwieje, bo grzechem skażone — a zasię,
Ten, który umarł i ożył, Ten Pierwszy
i Ten Ostatni na nowo je wskrzesi:
i trawy wstaną soczystsze i większe,
i smreki będą smuklejsze i grubsze,
i wasze owce okryją się wełną
dłuższą i miększą, i te krowy wasze
będą mleczniejsze i tłustsze —

Jeden z gazdów
(którzy skupili się około rektora).

Na moich
skóra a kości. Wymiona im wyschły,
jak puste worki tak wiszą —

Radocki.

A w ludziach
nie będzie panów ani sług.

Drugi gazda
(przerywając).

A dzisiaj
chcieliby wszystkich zamienić na sługi —
tak ino baczą, w jakim chodzisz pasie:
są w nim goździczki srebrzyste, w te tropy
prawią, żeś panem i huzia —

Radocki.

Nie będzie,
że jeden łaknie, a drugi pijany,
że jeden zwozi pszenicę furami,
a drugi ledwie garść owsa wymłóci —

Inny gazda.

A co ja miałem tego roku? szkapskom
nie wystarczało na lichą podsypkę.

Radocki.

Wszyscy po równi będą mieli ziemi
i wszystkiem złotem, które jest na świecie,
wszyscy się ludzie po równi podzielą
i będzie wspólność —

Inny gazda.

O haj! jak najprędzej
niech wiatr ten zadmie! —

Radocki.

I słońce inaczej
będzie świeciło... Tak jest napisano
pod tą pieczęcią, którą dzisiaj łamie
Ten, który umarł i ożył!...

Jeden z gazdów.

Niech żyje
junak Napierski!

Radocki
(solennie).

Niech żyje na wieki
Ten, który w nim się objawił, Ten Pierwszy
I Ten Ostatni, co umarł i ożył.

Inny gazda.

Janosik, mówią, ożył z swej mogiły!

Trzeci gazda.

Na okolicę chodzą takie wieści.

Rektor
(jak wyżej)

Umarł i ożył Pierwszy i Ostatni —

(**Łętowski** wraca).

Gazdowie rada! przyszły do nas listy
od pułkownika, byśmy się zebrali
wielką gromadą i szli popod Czorsztyn.
Ma nas wybawić od uciemiężenia
i ma królowi dopomódz, bo szlachta
oraz żydowie idą na majestat.
I u nas miarka złego się przebrała —
gorsze są czasy, niż kiej Baranowski
hań starostował na czorsztyńskim zamku,
albo Cikowski, co to chłopskie skóry
kazał naciągać na bębny...

Jeden z gazdów
(siwy góral, podchodząc ku Łętowskiemu).

Pamiętam —
byłem ci młody jeszcze, nie jak dzisiaj,
kiedy te włosy bielsze od bród siwych,
co się zwieszają z umarłych gałęzi
w Ciemnych Smreczynach albo we Wirchcichej.
Bębnił Cikowski na chłopskiej skórzycy,
że aż jęczały Tatry od bębnienia,
a naokoło żal był i żorota
i krew się lała, a ty, chłopie, widzisz,
płać jeszcze za to, że cię nie uśmiercił...
A mógł uśmiercić, bo takie miał prawo —
tak sobie dufał...

Inny gazda.

A dzisiaj, gazdowie,
nie jest tak samo? brata ustrzelili
mnie, Gałyszowi... A za co?.. Hej! za to,
że upolował kozę pod Krywaniem,
a połowiny do dworu nie zaniósł.

Łętowski.

Tak jest... gadają: polować nie wolno,
bo — kozy pańskie... A przecie my mamy
stare papiery od królów — te mówią:
co jest w powietrzu i co jest we wodzie
i co we wirchach, to jest wspólność wszystkich!

Miej tylko strzelbę i wędkę, miej sieci,
a co ułowisz, a co upolujesz,
to wszystko twoje, nikomu daniny
z tego nie płacisz —

Gazda z rodu **Kalatów**
(przerywając)

Sołtysie, Łętowski!
Ja jestem z rodu Kalatów —

Gazda z rodu **Gutów**
(j. w.).

Ja, widzą,
idę od Gutów —

Gazda z rodu **Bachledów**
(j. w.).

A ja od Bachledów —

Gazda z rodu **Gąsieniców**
(j. w.).

Jeszcze-ć Gutowie albo i Bachledy
nie mieli pierza, kiej my, Gąsienice,
tako krakali w wirchowych pieleszach,
że się Luptaki kryli w suśle jamy,
a Miszkołackim z strachu oczy gasły...

Gazda z rodu **Kalatów**

Cicho!..

Gazda z rodu **Tatarów**

E! co tam! nad nas, polowaców,
nad nas Tatarów niema i godniejszych!
na niedźwiedzinie siły my nabrali, —
nasz ród najstarszy, a wolny jak kozy
na krzesanicach Furkotnych...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jan Kasprowicz

O skażeniu języka polskiego.

(Ciąg dalszy).

We Lwowi człowiek trzymający pomięszkanie w mezzaninie, obok kasarni, to jest biedaka człowiek całkiem pojedyńczy, on sobie kupuje mebli gotowe, a przedewszystkiem nachtkastel. To nie jest znowu jakiś tam baciarz, to człowiek wiadomy w całym becyrku, toż pan hofrat chodzi z nim popod rękę. A proszę o oglądnięcie, jaki on nosi na sobie oberrok, apod nim co za szlusrok, jaki on ma wygląd, kiedy absentując się od prochu miastowego, parówką jedzie do dworca, siada do wagonu i koleja wiezie go w niedzieli do Brzuchowic, gdzie łyka wsiowe i lasowe powietrze. Tak jest, ten dzielny człowiek, który nigdy nikomu nie zrobi krzywdy i nie popełni nic takiego, coby się sprzeciwiało zasadom moralności, z największym spokojem krzywdzi ciągle swoją rodzinną mowę, okrada ją z najpiękniejszej jej szaty i czyni ciągłe zamachy na jej całość i czystość.

To kaleczenie i każenie języka w życiu codziennem jest tak powszechne, że dałoby się stwierdzić tysiącami przykładów. Przecież tutaj mówi się zawsze: »Ktoś dobrze stoi«, »student zrobił egzamin«, «jestem przeszkodzony«, »czynię pana uważnym«. »nie jest to mój rodzaj«, »zgłosić odczyt lub trzymać mowę«, »wykazać się świadectwem«, »to jest apetytne«, »oddziałuję, wykonuję, przekonuję, porównuję«, »przemawiam w ten sens«, »wychodzę z zasady«, »pod tym wyrazem rozumiem« i t. d. i t. d. tysiące na każdym kroku uchybień przeciwko podstawowym prawidłom języka, jego etymologji i stylistyce.

Sprawiedliwość jednak przyznać każe, że człowiek, mający mówić i pisać poprawnie po polsku, znajduje w około siebie aż nadto wiele usprawiedliwienia dla tego wadliwego sposobu mówienia i pisania. Nie dba on o czystość języka ojczystego z tego powodu, że nie widzi odnośnego usiłowania wszędzie tam, gdzieby słusznie oczekiwać należało poszanowania dla języka polskiego. Wszelkie ogłoszenia, rozlepiane na murach miasta, na ścianach domów, wszystkie szyldy, afisze, luźne druki, rozdawane na ulicy, wszelkie ogłoszenia w dziennikach — wszystko to pełne jest błędów językowych, pomijając wadliwą prawie zawsze pisownię. Dość przytoczyć takie przykłady, jak: »wyrobnia sukien męskich«, »stroje ćwiczebne sokole«, naprawa kaloszy specjalna gumowa«, briosze, andruty kruche, fladerki, zwibaczki«, »dwa pokoi do wynajęcia«, »co niedzieli wycieczka do Janowa«, »do intelligenzprüfungu przygotowuje«, »poszukuje dochodzącej lekcji«, »ledziuchne skrzyneczki pocztowe« i t. p. i t. p.

W każdym zawodzie obok znanych powszechnie specjalnych wyrażeń pełno jest w użyciu takich słów, które żywcem przejęto z obcych języków, i którym dano u nas prawo obywatelstwa ze szkodą własnej naszej mowy. Takie słowa istnieją w każdym poszczególnym zawodzie i rzemiośle w tak ogromnej ilości, że zwykła, poprze-

dnia mowa naszego rzemieślnika, robotnika fabrycznego, górnika, ogrodnika, wyrobnika zatraca zupełnie charakter języka polskiego. Te wszystkie akordy, unszlagi, bordiury, bankeisy, brankadry, bretnale, durszlaki, falce, ferkleidunki, flintglasy, formkastle, gwichty, gryfy, kastle, kroksztyny, krankkasy, markszejgdry, pakhauzy, rejbery, raszple, rygle, śrubsztaki, szlabany, szlachtuzy, szpadle, sztubry, sztyfty, treibhauzy i inne równie mile brzmiące wyrazy gorszą ciągle i bezustannie w ustach przeważnej części naszej ludności. Trzeba zaś zaraz zauważyć, że dla zastąpienia tych dziwolągów nasz język posiada odpowiednie i zupełnie właściwe wyrażenia, jeżeli jeszcze nie zawsze, to w największej ilości wypadków, jak np. »gwóźdź» zamiast sztyft, »cieplarnia» lub »pędzarnia« zamiast treibchaus, »rzeźnia« zamiast szlachtuz, »łopata« zamiast szpadel, »skrzynia« zamiast kastel i t. d., że więc niema koniecznej potrzeby uciekania się do obcej mowy. Jeśli się to jednak dzieje, to tylko dla tego, że zwykliśmy używać tych słów, bo nam wygodniej iść utartą drogą, nie zastanawiając się nad całą tą sprawą. (C. d. n.)

Cwaigbaum-Drzewski.

Z pism i książek.

Henryk Pontoppidan: „Z chat“. Przekład z duńskiego Józefy Kl. Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego. Warszawa 1899. Str. 120 in 8°.

O każdym z sześciu obrazków tego zbioru da się powiedzieć: piękny i smutny! Piękny, bo wszelkie posiada zalety niepospolitego pędzla, — smutny, bo odtwarza chłopskie życie, które i w Danji, podobnie jak u nas, jak wszędzie, znojem, krzywdą, łzami płynie.

Duszno i mroczno w chatach, do których młody pisarz duński wprowadza czytelnika. Gnieżdżą się tu wszelakie występki i zbrodnie („Na manowcach“), nałogowe pijaństwo pozbawia rozumu, sumienia, a w końcu i życia, („Na cmentarzu“), nędza zabija w ludziach nawet tak pierwotne uczucia, jak przywiązanie do potomstwa („Cios“). Dzieci wyrastają w tych chatach bez pieszczoty matczynej, bez uśmiechu na ustach, młodość doznaje poniewierki, a starość bywa skazaną za życia na opuszczenie i lodowatą obojętność grobu („Wędrowiec“)... O tak, duszno i mroczno w norach, „gdzie nędzarze siedzą przy ziemniakach lub wódce, pokrzywieni reumatyzmem, toczeni robactwem“...

Ale i tu nie brak wyjątku. Jedna z „chat“, „Rajem“ nazwana przez mieszkańców wioski i autora, odbija pięknie od szarej kamienistej ziemi nad zatoką. Owiewa ją rzeźwa atmosfera ładu, pracy, energji, a słońce miłości darzy ciepłem i światłem.

Życie obecnych jej właścicieli, Szymona i Anny, nie miało w młodości nic wspólnego z idyllą. Zaledwie po latach trudu, poniewierki, heroicznego oszczędzania mogli połączyć się węzłem małżeńskim i zapłacić pierwszą ratę za ów „raj“, który wówczas był nędzną budą z zapadłym murem i zaniedbanemi polami. I znowu minęło ośm lat, w ciągu których „każdy dzień, każda godzina były ustawicznem mozolnem dążeniem do celu, nim stali się wolnymi ludźmi na wolnej ziemi“. Teraz do nich już, do nich bezpodzielnie należał i schludny domek, opleciony winem i rola dziesięćkroć ulepszona i ogród, podobny do stubarwnego kosza kwiatów. A wszystko dokoła było takie roskoszne, „wszystko mówiło im o skończonej walce i o nowem życiu, obfitem w błogosławieństwa“... Raj, jednem słowem, raj prawdziwy dla ludzi, którzy nie nauczyli się wybiegać myślą ni sercem po za opłotki domowej zagrody.

Lecz i w tym skromnym raju drzemał ukryty wąż i podniósł nagle głowę...

Anna, zmożona pracą, zapada na zdrowiu i po kilku miesiącach okrutnych cierpień umiera, zmieniając raj w łez dolinę. Ostatnie chwile jej życia, kiedy z grozą nieuniknionej a bliskiej śmierci przed oczyma spełnia z niezachwianem męstwem umiłowane przez siebie obowiązki gospodyni, żony i matki, należą do najpiękniejszych w opowieści. Młody realista duński, ciskający gromy na romantyzm, sam wznosi się tu ponad poziomy i w błękitnej krainie natchnienia spotyka z innym duchem twórczym, z wielką poetką czeskiego narodu, Karoliną Świetlą. „Raj“ w uderzający bowiem sposób przypomina „Nieboszczkę Barbarę“ tej autorki, znaną stałym czytelnikom „Tygodnia“. I tu i tam dzieje bohaterów są niemal identyczne, z tą różnicą, że co słowianom daje uśmiech losu, to duńczycy własną zdobywają pracą. I tu i tam potęga miłości wyolbrzymia ludzi skądinąd bardzo powszednich, i tu i tam przewaga fizyczna, umysłowa i moralna znajduje się po stronie niewieściej. Anna, to rodzona siostra Barbary. Wysoka, zdrowa, silna, jak tamta, duszę ma również mocną i nieustraszoną, umie tak samo kochać i tak samo patrzy bez zmrużenia powiek w oblicze śmierci, myśląc nie o sobie, lecz o tych, co pozostaną. Cokolwiek niepoczesnej powierzchowności i „słabego umysłu“ Szymon to znowuż drugi tom Maćka Świetli. Przypomina go nawet w drugorzędnych rysach charakteru, ma naprzykład takież zamiłowanie i uzdolnienie do majstrowania, praktyczniejszy jednak od tamtego, nie łamie sobie głowy nad wynalezieniem klatki do zamykania wiatru, lecz poprzestaje na wyrabianiu pożytecznych przyrządów, „już to do ochrony drzewek od wiatrów, już do odstraszania ptaków od jagód lub skierowania słońca na kwiaty“. I nietylko nad wyobraźnią, lecz i nad uczuciem lepiej widocznie od słowiańskiego chłopa panować umie, bo serce nie pęka mu z żalu po śmierci Anny...

„Raj“, w którym myśl czytelnika, znęcona wonią, barwami i światłem, zatrzymuje się chętniej i dłużej, niż „Na manowcach“, „Na cmentarzu“ lub innych utworach omawianego zbiorku, nie przewyższa jednak tamtych pod względem artystycznym. Pontoppidan umiał tchnąć życie w każde ze swych dzieci duchowych i obdarzył każde zaletami, które wyborny przekład uwydatnia w całej pełni. Wartość polskiego wydania podnosi nadto charakterystyka literacka autora, skreślona również piórem p. Józefy Kl., należącej do nielicznych u nas znawców literatury skandynawskiej. *M. Wysłouchowa.*

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.